

Na patrolu z Niemcami na granicy z Polską

Zaraz BĘDZIE HUK

Pędzimy autostradą 190 kilometrów na godzinę. Policjanci przed chwilą dostali sygnał o kolejnej grupie w lesie

Siedzą pod drzewem w lesie, jakby na nas czekali. Kobieta poprawia hidżab, ktoś pakuje do worka butelki po wodzie.

Policjanci każą się podnieść i ustawić w szeregu. Na nadgarstki nakładają opaski z numerem, ten sam nakleją na plastikowy worek. Trafiają do niego rzeczy osobiste: papierosy, telefon, ładowarka, czasem syryjski paszport.

– Niemcy? – pyta po arabsku chłopak, pokazując na ziemię. Przytakują. Kilkanaście osób patrzy po sobie i się uśmiecha.

Kiedy wychodzą z policjantami z lasu, para starszych mieszkańców domu naprzeciwko unosi głowy tylko na chwilę i zaraz wraca do pielenia grządek. Widzą taki obrazek kilka razy dziennie.

FORST, GODZ. 5.35

Komisariat w Forst od położonej na Nysie Łużyckiej granicy z Polską dzieli kilometr w linii prostej. Za oknem jeszcze ciemno, kiedy Frank Malack zakłada policyjny mundur. Przez 25 lat dorobił się na pagonach pięciu gwiazdek, czyli stopnia nadkomisarza.

Zgodnie z kontraktem, który podpisał na początku służby, federalna policja może go rzucić do pracy gdziekolwiek na terenie Niemiec. Ma szczęście: służy głównie na swoim polsko-niemieckim pograniczu.

– Urodziłem się jeszcze w NRD, ale od tego czasu wszystko się tutaj zmieniło – opowiada.

Po zjednoczeniu Niemiec widział, jak region pustoszeje, bo mieszkańcy wyjeżdżali na Zachód. Gdy poszedł w ślady ojca i wstąpił do policji, obserwował

kwitnący przemysł papierosów (też na Zachód) i kradzieże samochodów (na Wschód).

Teraz w komisariacie codziennie odbierają telefon w tej samej sprawie. Mieszkańcy dzwonią ze spacerów, z domowych ogródków i wracając z pracy. Widzieli grupę obcych.

Zanim zacznie świtać, nadkomisarz Malack pakuje do radiowozu pudełko z dziesiątkami plastikowych worków i wyruszamy w teren.

NIEBEZPIECZNY KOKTAJL

O problemie przedstawiciele krajów związkowych i gmin zaczęli mówić na początku roku.

Przez kolejne miesiące narzekali do dziennikarzy, że nie mają gdzie upychać kolejnych przybyszów, którzy trafiają pod ich opiekę z ośrodków recepcyjnych. Ostrzegali, że systemy edukacji, integracji i zdrowia zaraz się zatkają. Jest już przecież milion uchodźców z Ukrainy, którzy w azylowych liczbach nie są ujęci.

Wiosną zaczęli apelować: na już są potrzebne pieniądze i stałe kontrole służb na granicach z Czechami i Polską, żeby ukrócić ruch na głównych szlakach migracji do Niemiec.

Kancelarz Olaf Scholz zgodził się dołożyć tylko milion euro, a minister spraw wewnętrznych Nancy Faeser wysłać na granice dodatkowych kilkuset funkcjonariuszy. Ich obecność nie sparaliżuje życia na pograniczu, tak jak mogłyby kontrole każdego wjeżdżającego do kraju auta.

Ale wraz z końcem lata urzędnicy utoną we wnioskach o azyl. Przez dziewięć miesięcy wpłynęło ich

łącznie ponad 230 tysięcy, czyli więcej niż w całym ubiegłym roku. Poszybują też liczby nielegalnych wjazdów do kraju: policja odnotuje ich ponad 92 tysiące, najwięcej od kryzysu migracyjnego za czasów Angeli Merkel.

– Nie ma ochrony granic, górnego limitu uchodźców, pieniędzy dla gmin – zdenerwuje się w prasie wiceszef policyjnych związkowców. – To niebezpieczny koktajl, który zmieni nastroje w kraju.

NIE MA SZAROŚCI

Po moście, który łączy Słubice z Frankfurt nad Odrą, suną mieszkańcy pogranicza. W obie strony wracają z pracy, uczelni, z zakupów.

– U nas uchodźców nie widzę – mówi Polak od strony Słubic. – Ale policja skontrolowała mnie kilka razy w ciągu ostatnich miesięcy. Raz kazali nawet walizkę otwierać.

– Dla nas są problemem – Niemka po stronie Frankfurtu prawie szepcze. – Ale nie chcę o tym rozmawiać.

Kobieta, która spaceruje z mopsem, ucieka. Starsza pani z zakupami macha ręką i odchodzi. Para mieszkańców udaje, że mnie nie słyszy. Burmistrz miasta René Wilke nie ma czasu na rozmowę.

Frankfurckiej dziennikarce Peggy Lohse wystarczy kilka spacerów na most, żeby zobaczyć to, o czym mieszkańcy wolą milczeć.

– Wyszli z furgonetki w pięciu. Za nimi szedł przemysłnik i nagrywał. Pewnie musiał mieć dowód, że dotarli do celu – wyjaśnia Lohse. – Niemcy boją

KAROLINA
KIJEK





• **Patrol niemieckiej policji wyłapuje migrantów na granicy z Polską. Okolice Forst, 11 października 2023.**

FOT. TOMASZ PIETRZYK

się mówić, bo w tym temacie nie ma szarości: albo jesteś człowiekiem gościnnym i otwartym, albo nacjonalistą przeciw migracji. A o burmistrzu Wilkem już raz pisały wszystkie media.

Kiedy w 2018 roku wprowadził się do ratusza, miastem wstrząsnął atak gangu młodych Syryjczyków uzbrojonych w noże i pręty na nocny klub Frosch. Wilke jako pierwszy, a do tego lewicowy burmistrz ogłosił, że wniesie o deportację grupy uchodźców. Oddzielił ją od większości, która integruje się dobrze, ale organizację od pomocy migrantom i tak zarzucały mu przesunięcie na prawo.

W tym roku w lokalnej gazecie wyjaśniał, że rośnie konkurencja o mieszkania, miejsca w przedszkolach i szkołach, a jeśli do tego zapcha się system integracji, to „będzie huk”. Konfliktom nie da się zapobiec.

W imieniu miast ze wschodnich Niemiec Wilke pisał też w oświadczeniu, że rząd i landy muszą je odciążyć. „Siły populistyczne próbują wykorzystać tę sytuację do swoich celów – przestrzegał. – To musi być sygnałem alarmowym dla wszystkich osób odpowiedzialnych politycznie”.

Gdy dorastał w latach 90., widział grasujących po ulicach neonazistów i wyprowadzki za lepszym życiem na Zachód. Jest jedną z trzech osób z licealnej klasy, które zostały we Frankfurcie nad Odrą.

Od zjednoczenia Niemiec społeczność miasta skurczyła się o jedną trzecią, a jednocześnie ma największy w landzie odsetek cudzoziemców. Na każdą setkę mieszkańców przypada szesnastu obcokrajowców.

– Oni się teraz dopiero naprawdę zjeżdżają, nawet nie wiem skąd – przyznaje polska mieszkanka

Frankfurtu. – Wcześniej byli tylko Polacy i Niemcy, a na ulicach biało.

FORST, GODZ. 7.05

Mijają nas osobówki, podejrzone są dostawczaki.

– Raz w furgonetce odkryliśmy 55 osób. Około trzydziestu to norma – mówi nadkomisarz Malack.

– Kiedy otwiera się drzwi pojazdu, a w środku są ludzie i ledwo mają powietrze, to trochę człowiekowi ciężko. Ale nie można tego do siebie dopuszczać. Mamy pomóc.

Za chwilę sprawdzimy nadjeżdżającego vana. W środku materiały budowlane.

Po 40 minutach przez CB-radio nadchodzi wezwanie. Ktoś z mieszkańców zobaczył grupę przybyszów w miejskim ogrodzie różanym.

– Wsiadamy! – krzyczy Malack i zaraz pędzimy na sygnale ulicami Forst.

Widzimy z daleka, jak idą chodnikiem. Szeroka, pusta droga w dwie minuty zapełnia się radiowozami. Pudełka z opaskami na rękę i plastikowymi torebkami na rzeczy lądują na chodniku.

– Zanim będziemy mieć ich dane osobowe, minie trochę czasu, stąd te numery – wyjaśnia Malack, a policjanci powtarzają rytuał z przeszukaniem i naklejaniem opasek z numerami na ręce.

Pod plotem ogródków działkowych czeka w szeregu około trzydziestu mężczyzn i chłopaków.

– Ich liebe Deutschland – odzywa się jeden. – Jadę do Berlina, do brata.

Łamanym angielskim mówią, że są z Syrii, za podróż zapłacili od 10 do 12 tys. dol., wsiedli na Słowacji, a w dostawczaku spędzili dziesięć godzin. Butelka wody, którą daje im policjant, w mig robi się pusta.

Policjantkę martwi widok chłopca, na oko ośmioletniego.

– Jest sam? – dopytuje mnie po cichu, bo wokół policjanci pracują bez emocji.

Chłopiec zapewnia, że lat ma dwanaście, a w grupie 16-letniego brata i jeszcze kogoś znajomego.

Wsiada do policyjnego busa, który zawiezie go do komisariatu, a później do ośrodka dla uchodźców. Kilka razy powtarza słowo „Hanower”. Tam podobno ma bliskich.

W NIEMIECKIM OBOZIE

Ośrodek recepcyjny dla uchodźców w przygranicznym Eisenhüttenstadt – pomiędzy Frankfurtem a Forst – zajął budynek po enerderskiej milicji.

W środku ponad trzy tysiące gości z różnych krajów. Wokół wysoki płot, a na wejściu szlaban i ochrona.

– To dla ich bezpieczeństwa – wyjaśnia Olaf Jansen, szef ośrodka i urzędu ds. cudzoziemców. – Mogą wychodzić, ale zdarzały się próby sprzedaży narkotyków i wciągania do gangów.

Dyrektor liczy, że ogrodzenie wybije też komuś z głowy potencjalny pomysł napaści. Tylko w pierwszych trzech miesiącach tego roku służby odnotowały w Niemczech 45 ataków na placówki z uchodźcami. To ponad dwa razy więcej niż rok temu.

Najpierw przyjeżdżali ludzie z lasów na polsko-białoruskiej granicy, potem uchodźcy z Ukrainy.

– Kiedy przed ubiegłymi wakacjami zaczęło ich ubywać i myśleliśmy, że trochę odpoczniemy, przyszedł sierpień. Do obozu przybyło wtedy w miesiąc około tysiąca osób – wzdycha dyrektor Jansen. – Ale jesteśmy profesjonalistami. Minie równie dużo czasu, zanim powiemy, że nie dajemy rady.

Obok budynków ośrodka wyrastają więc kolejne budowle z kontenerów.

W sali recepcyjnej czeka kilkadziesiąt osób. W pokojach za ścianą pracownicy ośrodka zapytają je, jak mogą pomóc. Słowa „chciałbym prosić o azyl” rozpoczyna procedurę. Odciski palców, zdjęcie, dokumenty do wypełnienia. Później badania lekarskie i przydział do pokoju. Osobno rodziny i kobiety, osobno mężczyźni.

We wnioskach o azyl, które lądują na biurkach urzędników, dominują trzy kraje: Syria, Afganistan i Turcja. Z tego ostatniego państwa przybywają także ludzie, którzy przez kilka lat tam mieszkali.

– W trakcie procedury przechodzimy wywiady, które mają sprawdzić, czy na pewno szukamy azylu – tłumaczy jeden z przybyszów. – Niektórzy muszą klamać, wcale nie są prześladowani w swoim kraju. Uciekają przed biedą.

Dla około połowy ośrodek jest domem na maksymalnie trzy miesiące. Jeśli urzędnicy uznają, że przybysz ma dużą szansę na azyl, trafia pod opiekę jednej z gmin. Gdy mają co do tego wątpliwości, cudzoziemiec zostaje w obozie.

– Po decyzji o odmowie azylu rozmawiamy o opuszczeniu kraju – wyjaśnia dyrektor Jansen. – Każdy ma prawo skierować sprawę do sądu, wtedy wciąż musi tu zostać.

Często później zostaje też w Niemczech. Postępowania przed sądem trwają w nieskończoność, a dwie na trzy deportacje się nie udają, bo cudzoziemiec stawia opór, linie lotnicze odmawiają transportu lub policja udziału. Jeśli choruje, w jego kraju jest niebezpiecznie lub jest „inna przeszkoda prawna lub faktyczna”, nakaz wyjazdu zostaje zawieszony do odwołania.

Czasem służby pukają do drzwi po latach.

DROGI ŚMIERCI

Syryjczyk pokazuje mi trasę podróży na mapie w komórce. Palec przesuwa się od Turcji, przez kraje bałkańskie i Słowację, po Polskę i Niemcy. Media nazwały tę drogę nowym bałkańskim szlakiem.

„Szedłem przez lasy 15 dni – pisze z pomocą tłumacza. – To, co się tam dzieje, jest gorsze niż sama wojna. To droga śmierci”.

Wklepuje w telefon słowa „głód”, „brak wody”, „gwałty”, „handel dziećmi”, „mafie”.

„Czy to przez morze, czy przez Białoruś, nie ma znaczenia – dopisuje. – Wszystkie drogi prowadzące do Europy to drogi śmierci”.

24-letni Kenijczyk ich uniknął. – Po prostu poszedłem na lotnisko w stolicy i modliłem się, żeby nikt mnie nie zatrzymał – opowiada.

Spakował do plecaka tylko trochę ubrań, bo musiał wyglądać tak, jakby za parę dni miał wrócić.

Na jego przepustkę do Europy złożyły się: dubajska wiza, dzięki której dostał się do Turcji, pięć tysięcy dolarów wydanych głównie na loty i wsparcie „agencji”, która takie podróże organizuje. Najpierw poleciał do Dubaju, potem do Turcji i tam kupił bilet na Kubę.

– Chodziło o lot do kraju, do którego mogę lecieć bez wizen i po drodze będę miał przesiadkę w Holandii – tłumaczy. W jakiś sposób wyszedł z lotniska w Amsterdamie i wsiadł w pociąg do Niemiec.

Powtarza, że kocha swój kraj, zostawił w nim mamę, brata i siostrę.

– Ktoś musiał się poświęcić i wyjechać, żeby reszta mogła godnie żyć – mówi. – W Kenii znaleźć pracę, która na to pozwoli, to jak cud. W Niemczech płacą za godziny, najmniej to chyba 8-10 euro na rękę. Jeśli będę mieć szczęście i pracować po dziesięć godzin

*Policjantkę martwi widok chłopca,
na oko ośmioletniego.*

– Jest sam? – dopytuje mnie po cichu.

Chłopiec zapewnia, że lat ma dwanaście



• Grupa uchodźców zatrzymana przez niemiecki patrol na ulicy miasteczka Forst. Policijny bus zawiezie ich do komisariatu, a później do ośrodka dla uchodźców.

T. TOMASZ PIETRZYK



dziennie, to w półtora dnia zarobię minimalną kenijską pensję i będę mógł wysłać pieniądze мамie.

24-letni Rohullah z Afganistanu dotarł do Niemiec w czerwcu z granicy polsko-białoruskiej. Dał wiarę przemytnikom, że zaporę da się obejść, i na dziesięć dni utknął w pasie pomiędzy państwami.

– Ale niektórzy byli tam miesiące – wspomina. – Nie mogli już chodzić.

Zapas jedzenia po kilku dniach się skończył, wodę ze strumienia filtrował przez ubranie. Wiedział, że nie może się cofnąć. Białoruscy strażnicy go pobili, żeby nie przyszło mu to do głowy.

– Przychodzi moment, że zaczynasz odliczać, kiedy tam umrzesz. Zastanawiasz się, ile dni ci jeszcze zostało – mówi Rohullah. – To było najtrudniejsze: pozbyć się uczucia, że nie przeżyje.

Gdy po pięciu dniach przedostał się do Polski, polscy strażnicy otworzyli bramkę w zaporze i wypchnęli go z powrotem na Białoruś. Udało mu się za drugim razem. Po polskiej stronie przemytnik zabrał go do Ślubicy i kazał iść przez most do Frankfurtu.

FORST, GODZ. 10.03

Stajemy przy dawnym moście kolejowym nad Nysą Łużycką. To po nim przyszła z Polski grupa Syryjczyków, którą mieszkaniec zauważył w ogrodzie różanym.

– Być może przemytnik zauważył naszą kontrolę i dlatego wyrzucił ich tutaj – głośno myśli Malack.

Kierowcy, czyli głównego celu policyjnych działań, nie udało się złapać.

– Ale to plotka – mówią policjanci. – Grube ryby, czyli szefowie mafii, siedzą gdzie indziej.

Ci z aut mogą pomóc w rozpracowaniu siatki przemytniczej lub przynajmniej w odstraszeniu. Im więcej złapanych przemytników, tym większe ryzyko i mniej chętnych na ich miejsce.

Za kierownicą siedzą: Ukraińcy, Syryjczycy, Gruzini, Niemcy, Słowacy, Polacy. Policjanci są pewni: nie chodzi im o pomoc uchodźcom, skoro upychają ich jak sardynki w puszcze, tylko o pieniądze.

Sprawnie zmieniają trasy. Często jadą przed nimi samochody pilotujące przerzut, żeby ostrzegać przed kontrolami na granicy. Odkąd służby stoją przy moście we Frankfurcie, wypatrując dostawczaków, te najczęściej zatrzymują się właśnie w lasach w pobliżu Forst.

Policjanci mówią, że przemytnicy są jak woda – zawsze znajdują drogę.

SPRZEDAWCZYNI UDAJE

Przez pandemię dopiero po pięciu latach we Frankfurcie nad Odrą na ławie oskarżonych zasiadają Syryjczycy odpowiedzialni za atak na nocny klub Frosh. Jest ich czterech. Jeden już siedzi w więzieniu, a trzech nie doczekało procesu. System deportacyjny był szybszy i wrócili do Syrii.

Prokurator przypomina ustalenia śledztwa. Opowiada o rozbijanych oknach, machaniu nożami, krzykach „Wszyscy już nie żyjecie” i gościach, którzy chowali się pod samochodami. Podsumowuje, że rannych zostało siedem osób, część z powodu rzucania popielniczkami.

Proces śledzą czołowe niemieckie media. Opisują też kolejne przykłady przeciążenia systemu. W Tangendorf w Dolnej Saksonii przed drzwiami mieszkanki staje 13 uchodźców z walizkami. Dostali błędny adres do ośrodka. – Wcześniej sami ich rozwoziliśmy, ale teraz jest ich tak dużo, że nie dajemy rady – tłumaczy rzeczniczka władz okręgu.

Dziennikarka Peggy Lohse widzi w swoim mieście zmianę. W felietonie w „TAZ” opisuje, że młody Afgańczyk pytał ją, dlaczego Niemcy nie odpowiadają, gdy do nich mówi. Sprzedawczynie w markecie udawała, że go nie słyszy.

– Po części chodzi o strach – uważa. – Tu jest więcej ludzi starszych. Coraz bardziej boją się sytuacji na świecie i buntują przeciwko temu, czego nie rozumieją i nie znają, jak różnorodność, feminizm, kwestie tożsamości płciowej. Chcieliby, żeby było „jak wcześniej”. A pierwszymi, z którymi utożsamiają te niechciane zmiany, są właśnie migranci.

Spełnia się też zapowiedź burmistrza Wilkego z wiosny. Drugą największą siłą w Bundestagu może być antyimigrancka, skrajnie prawicowa Alternatywa dla Niemiec (AfD). W całym kraju ma poparcie rządu 20 proc. Największe na wschodzie.

I to mimo że niemiecki kontrwywiad uznał partię za „podejrzaną” o prawicowy ekstremizm, a dziennikarze ujawniają jej kolejne powiązania ze środowiskiem neonazistów.

NAJPIERW NASZ KRAJ

W Düsseldorfie – po zachodniej stronie kraju – działacze AfD wrzucają mieszkańcom do skrzynek listy. Ostrzegają, że w jednej z dzielnic powstaje ośrodek dla 600 uchodźców, i zapraszają na wiec.

Mieszkańcy przychodzą na Frankenplatz przed czasem. Kiedy działacze AfD rozwijają plakat z hasłem „Najpierw nasz kraj”, za rozstawionymi przez policję barierkami już

stoi pół tysiąca osób z gwizdkami. Dmucha ją w nie nastolatki, rodziny z dziećmi, ludzie na wózkach i starsi.

Pod niebieskimi flagami AfD ledwo co słychać, więc mikrofon trzeba wymienić na megafon. Słuch wyteża około stu mieszkańców, głównie mężczyźni około pięćdziesiątki i kilka kobiet. Średnią wieku obniżają chłopcy z młodzieżówki z transparentem „Reemigracja teraz”.

Socjologowie głoszą, że dlatego partię popierają i robotnicy, i naukowcy. Łączą ich pesymizm i niezadowolenie z sytuacji w kraju. W jednej z ankiet aż 92 proc. wyborców zgodziło się ze stwierdzeniem, że „głoszą na AfD, żeby koalicja rządząca Niemcami zmieniła swoją politykę azylową”.

Dwie mieszkanki Düsseldorfu przyszły na wiec, bo się boją.

– Państwo tej niekontrolowanej migracji po prostu nie wytrzyma – mówi jedna.

– Nocami jest niebezpiecznie – dodaje druga. – Z mojego sklepu w centrum oglądam, co się dzieje. Rzucają butelki po piwach na ulicę, zamiast je wyrzucić. I przecież widzę, że to nie są żadni Niemcy.

Radna miejska Andrea Kraljic z AfD uderza we wspólnotowe tony. Mówi, że tu się urodziła i kocha swój heimat, a teraz też boi się wracać z pracy do domu.

– Czy czujecie się tu dobrze i bezpiecznie? – pyta zgromadzonych. – Czujecie się wysłuchani? Ja się nie czuję i myślę, że to uczucie niewysłuchania niektórzy podziela.

Christian Loose, poseł parlamentu Nadrenii Północnej-Westfalii, wylicza, co obywatele opłacają przyjezdnym w podatkach: zakwaterowanie, opiekę zdrowotną, kursy językowe, integracyjne, a nawet bębniarski, jak ostatnio w okolicznym Bochum.

Opowiada, że z jednego uchodźcy robi się stu, a ze stu – sto tysięcy.

– Potrzebujemy specjalistów, ale nie przybywają ci, na których czekamy – mówi. – Obecny system socjalny przyciąga migrantów. Dlatego nie zostają w Polsce, na Węgrzech, w Grecji.

I dalej o niemieckim „przemysle azylowym”, który na uchodźcach zarabia: finansowanych z podatków organizacjach pozarządowych i właścicielach nieruchomości, którzy za wyższą stawkę wolą wynajmować budynek miastu, żeby mogło ulokować w nim uchodźców.

– Prawdziwymi przestępcami nie są przemytnicy – mówi. – Ale ci, którzy mieszkają w Niemczech i wykorzystują pieniądze obywateli.

Landowy poseł AfD Martin Vincentz przedstawia rozwiązanie. – W obecnej sytuacji najpierw trzeba zatrzymać migra-

cję – wyjaśnia. – I sprawdzić, kto tutaj jest z nami i faktycznie miał powód do ucieczki. Brawa.

Po drugiej stronie barierki transparenty z hasłami przeciwko antyimigranckiej AfD: „Niebieski to nowy brunatny” i „Nikt nie ucieka bez powodu”.

Astrid Bönemann, działaczka socjaldemokratycznej SPD kanclerza Scholza, opowiada o мамie, która po wojnie razem z babcią musiała stąd cofnąć się na zombardowany Wschód. Nie miały nikogo, kto by im w Düsseldorfie pomógł.

– Historia miasta jest związana z ucieczką: przyjmowało uciekających, ale też zmuszało ludzi do ucieczki, zwłaszcza w czasie narodowego socjalizmu – mówi. – Ale nasza teraźniejszość jest ukształtowana przez migrację. Żyje tu ponad 150 narodowości i jesteśmy z tego dumni.

Zapewnia, że w dwóch miejscach w okolicy, w których mieszkają uchodźcy, było niewiele problemów, za to bardzo wielu wolontariuszy.

FORST, GODZ. 11.31

Pędzimy autostradą 190 kilometrów na godzinę. Zjazd i radiowóz mknie dalej na sygnale pomiędzy domami. Policjanci przed chwilą dostali sygnał o kolejnej grupie w lesie. Zwalniamy i szukamy wzrokiem vana lub ludzkich sylwetek.

– Tutaj policja federalna, proszę podejść – rozchodzi się z głośników radiowozu po niemiecku, arabsku, angielsku i francusku.

Coś pomiędzy drzewami się rusza, no to policjanci sprintem.

Kilkanaście osób ustawia się w szeregu. To Syryjczycy. Policjanci przynoszą opaski i plastikowe torebki.

– Nikt nie ma bagażu, bo zwycięża kalkulacja – wyjaśnia nadkomisarz Malack. – Jeśli przemytnik ma do wyboru: wziąć czyjaś torbę lub dodatkowego człowieka i zarobić, wybierze to drugie.

Malack do pudełka zbiera z ziemi resztki kartek z rejestracji w słowackim systemie azylowym. W komisariacie policjanci próbują złożyć je w całość. W teorii mogliby tam odesłać przybyszów, ale bywa różnie.

ŚLUBFURT ZAPRASZA

Obok mostu we Frankfurcie nad Odrą od kilku miesięcy stoi rzeźba Joanny Rajkowskiej. Kiedy człowiek stanie obok, wygląda jak zaporę na polsko-białoruskiej granicy. Jeśli spojrzysz z góry, ułoży się w napis „Sorry”.



Łamanym angielskim mówią, że są z Syrii, podczas przetrzutu ze Słowacji do Niemiec w dostawczaku spędzili dziesięć godzin upchnięci jak sardynki.

FOT. TOMASZ PIETRZYK

Dla Rohullaha z Afganistanu most to ważne miejsce.

– Kiedy tu dotarłem, poczułem, jakbym narodził się na nowo – mówi.

Na nic nie będzie w Niemczech narzekał, choć dzieli pokój z pięcioma innymi przybyszami, a system od trzech miesięcy rzuca go z jednego obozu do drugiego. Teraz jest w Prenzlau na północy.

Uczy się niemieckiego, czasem wychodzi po zakupy. Jeśli jego wniosek zostanie wstępnie rozpoznany pozytywnie, znowu się przenieś, tym razem do budynku jednej z gmin. Na życie dostanie 410 euro miesięcznie. Pracować może dopiero, gdy oficjalnie zostanie azyl.

Ma nadzieję, że wróci do Frankfurtu nad Odrą. To jego nowy dom, odkąd podczas spaceru stanął pod budynkiem dawnej sali sportowej z napisem „Slubfurt”. Zaciekawili go napisy w różnych językach.

– Wyszedł do mnie człowiek i zaprosił do środka – mówi Rohullah. – Wyjaśnił, że Slubfurt to taki projekt, w którym chodzi o to, żeby granice nie dzieliły.

Z pieniędzy unijnych czy grantów stwarzyszenie organizuje tam wydarzenia, na przykład latem był festiwal różnorodności z muzyką z całego świata. Zajmują się też ogródkiem, biorą udział w warsztatach, spotykają się co środę, żeby wymyślać kolejne inicjatywy.

Rohullah zaczął przychodzić, by porozmawiać przy kawie. Włączył się w protest przeciwko pushbackom na polsko-białoruskiej granicy, przy rzeźbie „Sorry” opowiedział swoją historię. Z czasem został obywatelem Slubfurtu.

Kiedyś chciałby znów studiować. W Afganistanie był na politologii, a po zajęciach działał w organizacji promującej demokrację i dostęp do edukacji równy dla kobiet i mężczyzn. Za to drugie talibowie zamknęły go w areszcie.

TO IST NASZ LAND

Artysta plastyk Michael Kurzwelwy sytuacji Afgańczyków najbardziej nie może przeżyć. Jak Zachód mógł obiecać im pomoc w ucieczce, a później część tam zostawić.

– Jestem przerażony dyskusją, która toczy się w Niemczech – mówi. – Bo tutaj jesteśmy przykładem, że nie tylko można pokojowo współistnieć, ale jeszcze się wzajemnie od siebie uczyć. A nasz inny Afgańczyk ze Slubfurtu teraz nocami prowadzi lekcje online dla afgańskich dziewczyn.

To Kurzwelwy wyszedł przed budynek przywitać Rohullaha. Kiedy ponad 20 lat

temu wymyślił projekt, jeszcze nie przypuszczał, że stanie się tak potrzebny przybyszom.

– Po prostu uznałem, że tożsamość można budować inaczej niż przez pryzmat narodowościowy – wyjaśnia.

Urodził się w Bonn, mieszkał we Francji, w Poznaniu, a kiedy pod koniec lat 90. osiadł na pograniczu, uznał, że to miejsce idealne, by pomyśleć urzeczywistnić. Ze Slubici i Frankfurtu zrobił więc Slubfurt, miasto bez granic. W godle ma koguta na jajku, hymn zaczyna się od „To ist nasz Land”, a w tej dawnej hali sportowej jest siedziba parlamentu.

Kiedy do miasta zaczęło ścigać coraz więcej przybyszów, Kurzwelwy mówił, że każdy, kto chce, może być Slubfurtczykiem. Nie musi nic udowadniać. Chcieli Afgańczycy, Kameruńczycy, Ukraińcy, ludzie z Erytrei, Sudanu, Iranu. Każdy, kto się zaangażuje, dostaje klucze do budynku i może z niego do woli korzystać.

– Dalej pokutują mity, że ci ludzie przyjeżdżają, żeby ciągnąć kasę z naszego systemu społecznego, a to guzik prawda – denerwuje się Kurzwelwy. – Weźmy za przykład Kameruńczyków. Są wysyłani przez rodziny do europejskiego rajku, bo te oczekują, że będą tu pracować i wysyłać pieniądze. Nasi dwaj obywatele z Kamerunu są dziś zawodowymi elektrykami. Jeden miał na studiach nawet najlepszy dyplom w całej Brandenburgii.

Pamięta, że kiedy lata temu Afgańczycy ze Slubfurtu pojechali nad jezioro, rodzice ze Slubici migiem przyjechali odebrać dzieci z obozu. A gdy sam w Aldi rozmawiał przez telefon po polsku, niemieccy klienci wokół zamarli.

– Patrzyli na mnie jak na Polaka – wspomina. – Myśleli, że teraz będę coś źle robił. Z czasem te wyobrażenia przeszły na uchodźców, bo w sumie Polak wygląda podobnie do Niemca.

FORST, GODZ. 14.01

Kiedy wysiadamy z radiowozu pod komisariatem, w Berlinie trwają rozmowy, co zrobić. Rząd w kolejnych tygodniach zaakceptuje projekty ustaw o łatwiejszych deportacjach, zaostrzeniu kar dla przemytników i ułatwieniu podjęcia pracy ubiegającym się o azyl.

Będą też stacjonarne kontrole na granicy z Polską.

Na razie podsumowujemy zmianę. W okolicach Forst policjanci zatrzymali 68 przybyszów.

– Ale dzień się jeszcze nie skończył – oznacza nadkomisarz Malack.

Jutro też zaczyna o świcie. ●

Wasz prezydent, nasz KUC

Orliński



Bardzo chciałbym napisać felieton nie o polityce, tylko o moich tradycyjnych zainteresowaniach – może o popkulturze, może o internecie... Ale te tematy też są polityczne, bo w popkulturze dużo zależy od tego, kto będzie nowym ministrem kultury.

Może wreszcie powstanie to superwidowisko o historii Polski z hollywoodzkimi gwiazdami, które od ośmiu lat bezskutecznie usiłował wyprodukować minister Gliški? Zamiast je wyprodukować, sam się nim stał.

Szkoda, że mój ukochany aktor Leslie Nielsen już nie żyje. Rola ministra Gliškiego mogłaby mu przynieść Oscara...

Internet to temat jeszcze bardziej polityczny. Przed nami interesująca polityczna decyzja: wskazanie polskiego Koordynatora Usług Cyfrowych.

Czy tak to się będzie nazywało? Nie wiadomo, bo odchodzący rząd zaniedbywał kwestię dostosowania polskiego prawa do nowych regulacji unijnych DSA/DMA.

To było dla nich typowe. Premier Morawiecki świetnie się spełniał w powerpointowych prezentacjach o „milionie samochodów elektrycznych” albo happeningach w postaci stukania młotkiem w przypadkowe żelastwo, rzekomo będące „stępką nowego promu”. Gorzej było, gdy ktoś miał te plany przekuć w konkretne projekty – kończyło się to bałaganem, jak z nieudaną reformą podatkową.

Nie wiadomo więc nawet, czy zostaniemy z nazwą KUC. To byłby dosłowny odpowiednik angielskiego Digital Services Coordinator, ale czy tak ważny urząd może mieć taki zabawny skrót?

KUC (czy też jak go tam nowa władza ochrzci) rozpatrzy między innymi obywatelskie odwołania od decyzji wielkich internetowych platform, jak Facebook, Twitter czy YouTube. Nie będziemy już zdani na łaskę i niełaskę algorytmów ani na fochy Elona Muska. Będziemy się mogli odwołać od tych decyzji do polskiego urzędu kierującego się polskim prawem. I to jest możliwe tylko dzięki Unii Europejskiej.

To kontrprzykład do pisowskich okrzyków, że Unia to zagrożenie dla niepodległości Polski. Jest odwrotnie.

Ja głęboko wierzę, że silna Polska może istnieć tylko jako element silnej, większej, demokratycznej wspólnoty. PiS prowadzi nas do „niepodległości” rozumianej w stylu irańskim albo północnokoreańskim – krajów o tyle „niepodległych”, że skłóconych ze wszystkimi.

Kraj działający w pojedynkę, nawet tak duży jak Japonia czy

Australia, nie jest w stanie zmusić Facebooka do negocjacji. Może go najwyżej całkowicie zablokować, jak Chiny, ale nie zmusi go do koordynowania zasad moderacji z państwowym urzędem.

Tylko Unia Europejska jest w stanie narzucać międzynarodowym korporacjom swoje reguły gry. Dlatego uważam, że Polska jako część takiego podmiotu ma więcej suwerenności niż po za nim.

KUC będzie miał ogromną władzę. Unijne regulacje mówią ogólnikowo o zwalczaniu zjawisk takich jak „mowa nienawiści” czy „dezinformacja”. Ale co to ma oznaczać w praktyce? To właśnie ustali KUC.

Z ogromną ulgą przyjąłem wiadomość o tym, że będą to robić „nasi”. Ale można wyszukać moje felietony, w których chwaliłem te unijne regulacje, jeszcze kiedy rządzili „nie nasi”.

Ogólnie jestem propanistwowy. Wierzę w zasadę „dłużej klasztoru niżli przeora”. Chcę, żeby polskie państwo miało możliwość narzucania polskich reguł gry międzynarodowym korporacjom, nawet jeśli chwilowo nie rządzą ci, na których głosowałem.

Do 17 lutego Polska ma poinformować Komisję Europejską, kto u nas będzie realizować obowiązki KUC. Czy to ma być osobna instytucja, czy też jakaś dotychczas istniejąca.

Decyzje innych państw unijnych są skrajnie zróżnicowane. Holandia powierzyła te uprawienia odpowiednikowi naszego UOKiK, Węgry odpowiednikowi naszej Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, Irlandia zaś powołała w tym celu nową instytucję.

Trochę się bałem, że PiS wpadnie na pomysł stworzenia nowej instytucji ustawowo zabetonowanej tak, żeby ciężko ją było zmienić z pominięciem weta prezydenta. Na szczęście nie wpadło, a teraz już na to za późno.

To nie przypadek, że ten felieton ukaże się pierwszego dnia bez pisowskiej większości w Sejmie. Nie chciałem im podsuwać pomysłów.

Teraz, nawet jeśli ich rząd coś zrobi rzutem na taśmę – nasz rząd będzie to mógł równie szybko odkręcić. Myślę, że jednak nawet nie próbują.

Wymagaloby to wysłania do Brukseli kilku porządnie przygotowanych dokumentów. W tym Morawiecki nigdy nie był szczególnie sprawny. A teraz oni i tak są za bardzo pochłonięci niszczeniem dokumentów, żeby tworzyć nowe.

Będę uważnie kibicować odpartyjnianiu przez nową władzę mediów publicznych. Ale jeszcze uważniej temu, co robi z KUC-em. Bo przecież wyznaczanie reguł gry w internecie wydaje się jeszcze ważniejsze.

Wojciech Orliński